

ROBERT J. SZMIDT

グリル

ときま

ポ
ツ

GUNS
&
AMMO

エ
ラ
ワ
ン

ア
ハ

グ
リ
ル

ア
ハ
ハ
ハ

ア
ハ
ハ
ハ

ア
リ

ア
ハ

MROK
NAD

TOKYORAMA

東京らま

HORYZONT
znak



ROBERT J. SZMIDT

MROK NAD

TOKYORAMA

ZNAK HORYZONT

Kraków 2020

Projekt okładki
Sebastian Komorowski

Ilustracja na okładce
Sebastian Komorowski

Opieka redakcyjna
Robert Medina

Redakcja
Urszula Gardner

Adiustacja
Urszula Gardner

Korekta
Bożena Sęk

Projekt typograficzny i łamanie
Edycja

Copyright © by Robert J. Szmidt
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2020

ISBN 978-83-240-7797-7

Znak Horyzont
www.znakhoryzont.pl

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl
Wydanie I, Kraków 2020. Printed in EU



001

Najważniejsze to patrzeć przeciwnikowi prosto w oczy. Nie na dłoń, choćby trzymał w nich najbardziej śmiertelnoścą broń, nie na przepoń, z której rodzi się każdy zabójczy ruch, nie na stopy zdradzające kierunek nadchodzącego ataku, ale właśnie w oczy. Głęboko, głęboko w oczy. Starzy filozofowie i mistrzowie sztuk walki nie na darmo nazywali je zwierciadłem duszy. To właśnie tam, na ich dnie, uważny obserwator dostrzeże rodzącą się dopiero myśl, która ułamki sekundy później poruszy ręką bądź nogą wroga, rozpoczynając następną rundę tańca zagłady.

Nie tym razem jednak...

Zbir, który zastąpił drogę Rafałowi Tymurze, miał nietęgą minę, choć nie przyszedł sam. W jego spojrzeniu próżno by szukać hardości cechującej podobnych mu osiłków. Chyba wiedział, z kim naprawdę ma do czynienia, a to mogło oznaczać tylko jedno: przysyłał go Arseniew.

Rafał zatrzymał się pośrodku peronu, dwa kroki od blokującego przejście draba. Spoglądał mu prosto w oczy, wyzywająco, jakby zachęcał do wykonania kolejnego ruchu. W opływającym ich tłumie pasażerów powstały jeszcze dwa zatory. Asekurujący posłańca cyngle byli równie jak on ponurzy, szerocy w barach i kanciastoszczęcy. Jeden zajął

miejsce po prawej, oddzielając ofiarę od pustego już, ale wciąż otwartego składu hyperloopa. Drugi przystanął za panelem wyświetlającym holograficzny rozkład jazdy.

Tymurze wystarczył rzut oka, by zrozumieć, że nie ma co marzyć o łatwym sukcesie. Przeciwnicy nie ryzykowali; stanęli wystarczająco daleko od siebie, by nie zdołał ich dosięgnąć za jednym zamachem, wyprowadzając serię dobrze wymierzonych ciosów. Szkoda... Byli zbyt napakowani, by mogli dorównać mu szybkością, gdyby więc popełnili ten drobny, ale jakże częsty błąd, miałyby spore szanse na wprasowanie im i tak płaskich nosów w te skaryfikowane gęby. Teraz jednak potrzebowałyby na to półtorej, w mniej sprzyjających okolicznościach nawet dwu sekund. Niby niewiele, ale... To właśnie czas był czynnikiem, który przesądzał, kto przegra to starcie, a kto wyjdzie z niego zwycięsko. Stojący za plecami Rafała gangsterzy – o tym, że tam są, był święcie przekonany – zdążą sięgnąć po broń. Czarne charaktery ustawiają się w kolejce do bicia tylko na naprawdę marnych holofilmach akcji.

Tym razem Wiktor zadał sobie naprawdę wiele trudu, by zmusić go do uległości.

Pasażerowie opuszczający kapsuły przybyłe ze stolicy przyśpieszali kroku, ledwie dostrzegali stojących naprzeciw siebie mężczyzn. Trudno się temu dziwić. Wbrew buńczuczным zapowiedziom polityków sublevelu dystryktów każdej europejskiej metropolii nadal były kontrolowane przez mniejsze bądź większe gangi, zatem wchodzenie im w drogę mogło skończyć się tylko w jeden sposób. Wprawdzie nigdy jeszcze nie doszło do wyrównywania porachunków w tak uczęszczanym miejscu, jakim jest hub dworca głównego, gdzie każdy tunel i peron są monitorowane dziesiątkami skanerów połączonych nie tylko z posterunkami korpolicji, ale także z najbliższymi „ulami” systemu bezpieczeństwa, niemniej ludzie mają to do siebie, że dotknięci paniką

zapominają o logice. Umykali więc teraz, wtulając głowy w ramiona, jakby przymierzali się do wejścia w wicherę albo zamieć. Pędzili przed siebie ile sił w nogach, zmierzając ku bocznym wyjściom, by jak najprędzej zniknąć z zasięgu ewentualnej wymiany ognia.

Tymura, chyba jako jedyny na peronie, nie obawiał się, że dojdzie do użycia broni palnej czy klingerów. Ci bracia – jak zwykli o sobie mówić gangsterzy stojący najniżej w hierarchii – pofatygowali się na dworzec, by mu coś zakomunikować. Za pomocą słów, nie prochu ani kompozytów. Gdyby było inaczej, przyczailiby się w alejce opodał apartamentowca, w którym mieszkał, albo w jakimś ustronnym miejscu, którego nie przeczesują nieustannie skanery szerokopasmowe.

Stojący przed nim zbir skinął właśnie głową, jakby umiał czytać w myślach, po czym wskazał brodą wylot najbliższego korytarza i nie czekając na odpowiedź, ruszył w tamtym kierunku, wtapiając się w tłum nadchodzących z przeciwka rozkrzyczanych kibiców che-do. Nie uśmiechało mu się świecenie gębą w obiektywy, a tych ściągnąłby na siebie z tuzin, gdyby nie ruszył tyłka razem z pozostałymi pasażerami hyperloopa. Tymura wahał się, ale tylko przez chwilę. Mógł zlekceważyć zaproszenie – często tak robił, nie ponosząc przy tym żadnych konsekwencji – zaniepokoiła go jednak ostentacyjna forma tego powitania.

Ludzie tacy jak Arseniew wolą działać skrycie, tam gdzie nie sięgają macki Systemu, których w dobie zagrożenia terroryzmem nie brakowało. Zwłaszcza w miejscach tak narażonych na ataki jak stacje przesiadkowe maglevu albo węzły hyperloopa.

Musi mu bardzo zależeć na tym spotkaniu, skoro posłał ludzi na peron, pomyślał, zrównując się z idącym wolnym krokiem bratem. W otaczającym ich tłumie powstała kolistą wyrwa. Nadchodzący z przeciwka pasażerowie robili, co

mogli, by nie znaleźć się w bezpośredniej bliskości potencjalnych antagonistów. Wystarczyło kilkanaście sekund, by tunel w promieniu trzech metrów opustoszał, jakby maszerujący nim mężczyźni otoczyli się sferą bardzo szerokiego osobistego pola siłowego. Dwaj gangsterzy, ci, których Tymura zauważył wcześniej, szli teraz przodem, torując drogę, ale wystające znad ich uszu czujki kamelarów śledziły każdy jego ruch.

Zaczynał żałować, że sam nie używa już podobnego sprzętu.

– Czego? – warknął, nie spoglądając nawet na idącego obok gangstera, gdy znaleźli się w jednym z nielicznych martwych pól między ulami systemu bezpieczeństwa.

– Wiktor zaprasza – odpowiedział tamten zwięźle, ledwie poruszając wargami, po czym odwrócił głowę, jakby zainteresowała go nagle treść mijanej reklamy. Krzykliwy holoposter skrzył się miliardami barw, oznajmiając wszem wobec, że zwycięzcą Ligi64 została w tym sezonie ponownie reprezentacja keiretsu GenCo.

Każdy bandzior znał na pamięć rozmieszczenie czekpoin-tów na swoim terytorium. To była podstawa. Szanse na przetrwanie w zawodzie mieli tylko ci z braci, którzy posiadli tę wiedzę na początku kariery i umieli z niej korzystać.

– Dzięki, ale nie mam dzisiaj chęci ani czasu – odpowiedział Rafał tuż przed wejściem w zasięg kolejnego omniskamera, po czym przyspieszył kroku.

– To nie propozycja roboty! – rzucił za nim brat, znajdujący się wciąż w bezpiecznej strefie. – Chodzi o dług – dodał szybko, widząc, że rozmówca zaczyna się od niego oddalać.

O dług? Robi się coraz ciekawiej, pomyślał Rafał. Problem w tym, że cynglom pokroju tego napakowanego pajaca nigdy nie mówiono za wiele, zatem dalsze ciągnięcie go za język nie miało większego sensu.

– A jeśli mimo to nie pójdę z wami? – zapytał przed kolejnym łukiem tunelu.

– Nie ma takiej opcji – odpowiedział po chwili wahania gangster, a asekurowający go bracia natychmiast zwolnili.

Nie tylko obserwowali dyskretnie cel, ale pozostawali także na nasłuchu. To musiało być coś naprawdę ważnego, skoro Wiktor ryzykował otwartą konfrontację, by go do siebie sprowadzić.

Skoro tak, może warto sprawdzić, co ma do powiedzenia? – uznał. Zwłaszcza że nie nadłoży specjalnie drogi.



002

Rój, jak zwano dzielnicę czerwonych latarni dystryktu Wrocław, mieścił się naprzeciw największego lokalnego węzła komunikacyjnego. Do czternastopoziomowego labiryntu pełnego domów publicznych, klubów nocnych i lokali rozrywkowych dla bardziej wymagającej klienteli można było jednak dotrzeć ze wszystkich stron, każdym środkiem lokomocji, jaki funkcjonował w eurocomowskich metapoliach. Obok kwartału rozpusty krzyżowały się tunele transkontynentalnego hyperloopa, nieco niżej i wyżej umieszczono stacje przesiadkowe najważniejszych linii maglevu, ale pod wejścia wszystkich poziomów z osobna dało się także dotrzeć siecią kapnetu, czyli lokalnej komunikacji kapsułowej.

Dzielnica tysiąca wyjść i tyłuż dróg ucieczki, zwykł mawiać Wiktor, który – jak chyba każdy liczący się gracz wrocławskiego półświatka – miał tam swoją siedzibę. To właśnie stamtąd, z gabinetu na samym szczycie Sfery, jednego z najbardziej znanych klubów dystryktu, zarządzał swoim mikroskopijnym imperium, tkwiąc niczym jadowity pająk pośrodku wabiącej ofiary neonowej sieci. W ciągu zaledwie dekady zbudował, a raczej przejął, strefę wpływów sięgającą od najniższych poziomów technicznych Wrocławia aż po miejsca, z których wciąż można było zobaczyć gołym okiem

słońce, o ile wyszło akurat na moment zza skłębionej zasłony wiecznych chmur.

W czterdziestym siódmym on i Rafał wrócili do Wrocławia tym samym transportem – zdemobilizowani i zarobieni jak nigdy dotąd. Należeli do grona cholernych szczęściarzy. Mrowie podobnych im najemników zginęło za oboma kołami podbiegunowymi, czasem wiele tysięcy kilometrów od rodzinnych dystryktów. Ich ciała spoczęły, niepogrzebane, w rozpadlinach skał odsłoniętych przez ustępujący lodowiec albo we wrakach leżących na dnie oceanu.

Cześć ich pamięci.

Rafał powtarzał te słowa za każdym razem, gdy wspominał poległych towarzyszy broni, co zdarzało mu się coraz rzadziej. Czas zdołał zaleczyć jego rany i pozwolił mu zapomnieć o koszmarze, który przeżył, walcząc o dostęp do ostatnich złóż na terenach za jego dzieciństwa kryjących się pod parokilometrową warstwą lądolodu.

Na pozbawionej lądu północy było łatwiej. Tam wyścig wygrali ci, którzy dysponowali lepszą technologią, ale południe zdobywano całymi latami, własnym potem i krwią, walcząc na bezkresnych pustkowiach o głódzie i chłódzie – jak nie przymierzając, na frontach pierwszej wojny światowej.

Wojna biegunowa dobiegła jednak końca. Każde złóż, które walczące korporacje mogły zdobyć, zostało przejęte bądź podzielone w drodze plutokratycznych mediacji pomiędzy zwaśnione strony. Najemne armie przestały więc być potrzebne i rozpuszczono je z dnia na dzień, wystawiając do wiatru tysiące liczących na dobry zarobek żołnierzy. Nic dziwnego, że zdecydowana większość weteranów obracała się obecnie w tych samych szemranych kręgach co Wiktor.

Jeśli nauczysz kogoś zabijać, nie możesz oczekiwać, że złoży kornie broń i ze śpiewem na ustach wróci do nudnego, zwykłego życia. Zew krwi zmienia człowieka, często

nieodwracalnie; tylko nieliczni potrafią mu stawić czoło i wyjść z tej konfrontacji zwycięsko. Łatwiej jest przecież odbierać pieniądze innym, niż w pocie czoła je zarabiać, zwłaszcza gdy ci, którzy jeszcze niedawno przypinali ci order i nie szczędzili pochwał, teraz nawet nie spojrzą w twoim kierunku.

Świat przerabiał to wielokrotnie: Wietnam, Afganistan, Iran, Korea Północna, Wielka Migracja. Ledwie ludzie zapominali o jednej wojnie, a już rodziło się zarzewie nowego konfliktu, który produkował kolejne dziesiątki tysięcy spaczonych żądzą krwi odszczepieńców. Ten odwieczny chocholi taniec został wprawdzie ostatnio powstrzymany, ale czy na długo?

Krąg życia i śmierci nigdy się nie zatrzyma, prędzej wyginemy, niż przestaniemy się wzajemnie zabijać. Z tą niewesołą konstatacją Rafał wkraczał do bajecznie kolorowej krainy rozrywki, przy której panorama rozświetlonej milionem neonów Ginzy zdawać się mogła wyblakłym powidokiem.

Tłumy wypełniające aleje i zaułki dzielnicy rozkoszy atakował nieznośny jazgot setek emitowanych jednocześnie reklam. Hologramy jęczących z rozkoszy roznegliżowanych syntetek wabiły wyidealizowanymi wdziękami potencjalnych klientów domów schadzek. Rozemocjonowani celebryci przekrzykiwali huk wirtualnych fajerwerków, zachwalając atrakcje czekające na chętnych w tętniących nocnym życiem ekskluzywnych klubach. Znajdujące się na obrzeżach najniższych poziomów przybytki dla mniej zamożnej klienteli ograniczały się wprawdzie do tradycyjnych neonów, ale umieszczone przy ich wejściach głośniki charczały na cały regulator, transmitując graną w mrocznych wnętrzach transową muzykę.

Wszystkie te dźwięki spadały na przechodnia, tworząc obezwładniającą kakofonię, tym bardziej nieznośną, że

każdy z osobna odbijał się setnym echem od ścian i sklepień poszczególnych leveli, które – choć wysokie i przestronne – stanowiły przecież zamkniętą przestrzeń.

Główne wejście do Sfery mieściło się na czterdziestym dziewiątym poziomie, tuż za bramami Roju. Tymura odechnął z ulgą, gdy minął obrotowe drzwi, choć wewnątrz klubu Wiktora nie było wiele ciszej. Na szczęście tutaj zmysły atakowała tylko jedna melodia, której basowe ryki wprawiały w drżenie każdą kość i każdy nerw w jego ciele.

Bracia rozproszyli się tuż za progiem. Z piątki został tylko ten, który zastąpił Rafałowi drogę. Milcząc jak grób, prowadził go ku centralnemu punktowi klubu, gdzie zbiegały się wąskie wybiegi, na których tańczyły dziesiątki nagich dziewczyn i chłopaków – dostęp do syntetek mieli bowiem wyłącznie ci, których stać było na opłacenie wstępu piętro wyżej. Magiczny poziom pięćdziesiąty był jednak nieosiągalny dla większości tutejszej klienteli, choć i tam – z tego, co dało się zauważyć przez miejscami przezroczysty strop – nie brakowało dzisiaj chętnych do uszczuplenia stanu konta o kilkadziesiąt albo nawet kilkaset kredytów.

Tego wieczora wszystkie przybytki w dzielnicy rozkoszy przeżywały istne oblężenie. Finał Ligi64 przyciągnął na wrocławski szachodrom ponad trzysta tysięcy najzagorzalszych kibiców, z czego zdecydowana większość była przyjezdna. Taka okazja trafiała się miejscowym sutenerom raz na kilka lat, nic więc dziwnego, że dwoił się i troili, by stanąć na wysokości zadania. Rafał mógłby się założyć, że do Roju ściągnięto połowę dziwek z sąsiednich dystryktów, a i to – sądząc po kolejkach do znajdujących się piętro niżej boksów – nie wystarczało.

W części klubowej także panował ogromny ścisk. Ci, którzy postawili na reprezentację EuroComu, a była ich zdecydowana większość, spłukiwali alkoholem gorycz porażki,

pozostali – głównie konsumenci innych korporacji – szalali zdobywającymi łatwo kredytami. Jedni i drudzy napychali mniej lub bardziej świadomie kabzę człowieka, który miał prawdziwe powody, by tej nocy świętować. Jego bukmacherzy obstawili połowę lewych zakładów robionych na terenie dystryktu, jego dziwki i syntetki wydoją w ciągu najbliższych godzin tysiące pijanych smutkiem bądź szczęściem frajerów, a lejący się strumieniami alkohol oraz prochy serwowane w Sferze z pewnością nie pochodziły z legalnych źródeł. Szacując przychody ze święta ludzkiej głupoty, można było się zastanawiać, po co Wiktorowi ta cała zabawa w gangsterkę.

Pogrążony w myślach Tymura szedł za prowadzącym go bratem wzdłuż wąskiego, otoczonego tłumami napalonych mężczyzn i kobiet pomostu, jednego z trzech identycznych wybiegów, które wrzynały się długimi jęzorami w kolistą salę niczym ramiona pacyfy. Wzdłuż zewnętrznej ściany, na każdym z pięciu pięter, ciągnęły się kontuary nie mniej obleganych barów, natomiast całą resztę poliwęglanowej podłogi zajmowały rzędy wygodnych łóż i stolików, pomiędzy którymi rozmieszczono parkiety, gdzie mogli się wyszaleć ci, których stać było na tę wcale nie tanią rozrywkę. Zabudowa wyglądała inaczej tylko na drugiej i piątej kondygnacji, tam gdzie ulokowano kasyna oraz burdele dedykowane subom oraz plusyom.

Rafał został doprowadzony na środek sali, do rozmieszczonych tam czekpointów i znajdujących się za nimi wind, które prowadziły przez wszystkie piętra na sam dół sferycznego klubu, do pomieszczeń technicznych, oraz na najwyższy poziom, oczywiście niedostępny dla zwykłej klienteli. To właśnie stamtąd właściciel, były kapral sił EuroComu, kierował swoim podziemnym imperium. I to tam miał trafić jego gość.

* * *

Zgiełk nocnego życia pozostał za drzwiami windy, które zasuwając się szybko, odcięły wszystkie źródła hałasu. Tylko wibracji powodowanych falami dźwiękowymi nie dało się całkowicie wytłumić. Podłoga pod stopami Tymury drżała wciąż wyczuwalnie, gdy pozostawiony przez ostatniego z braci szedł krótkim korytarzem w stronę znajomych drzwi. Musnął dłonią lakierowaną, nieco chropowatą powierzchnię. Prawdziwe drewno, coś tak niewyobrażalnie drogiego, że tylko ktoś wyjątkowo rozrzutny mógł sobie pozwolić na podobny zbytek.

Nie trudził się stukaniem. Skanery, którymi naszpikowano kilkumetrowe przejście, z pewnością powiadomiły Wiktora o przybyciu spodziewanego gościa.

Gabinet wciąż wyglądał tak samo jak podczas ostatniej wizyty, a minęło od niej... ile to już będzie?... ze trzy lata. Po prawej Rafał miał ażurową ścianę wirtualnych ekranów, na których ten, kto nosił gogle albo dysponował odpowiednim wszczepem, mógł zobaczyć każdy kąt Sfery, nie wyłączając tych, o których istnieniu postronni konsumenci nie mieli pojęcia. Kulisty klub zajmował bowiem tylko część kubatury budowli, w którą został wpasowany. W każdym z ośmiu narożników za grubą ścianą porobetonu znajdowały się sektory techniczne i to właśnie tam Wiktor wygospodarował dodatkowe pomieszczenia, w których prowadził tę mniej legalną działalność.

Biuro Arseniewa miało bezpośrednie połączenie z czterema takimi sekcjami w górnej części budynku. Do dolnych dało się zjechać windami, ale nie tymi, które były pośrodku klubu. W każdym narożniku budowli znajdowały się szyby prowadzące nie tylko do tajnych laboratoriów i magazynów rozmieszczonych u podstawy sześcianu, w który wpisano

klub, lecz – jak głosiła legenda – także dużo niżej, aż do ujemnych poziomów dystryktu.

Każdą z tych wind, gdyby zaszła taka potrzeba, można było zniknąć z pola widzenia sił bezpieczeństwa. Wystarczyło otworzyć jedno z czterech ukrytych przejść i człowiek rozplywał się, jakby nigdy go tu nie było. Zasada ta działała także w drugą stronę. Tymura, choć pewności mieć nie mógł, i tak postawiłby całe oszczędności, że przez Sferę przechodzi połowa kontrabandy sprowadzanej na górne poziomy dystryktu.

– Przyjacielu!

Wiktor nie ruszył się z za wielkiego, również antycznego i wartego fortunę biurka. Pomędzy nim a gościem stały bowiem trzy kompletnie nagie zjawiskowe kobiety... Nie, to nie były żywe istoty. Wystarczył rzut oka, by zauważyć, że ich ciała są w każdym calu identyczne. Nie podobne, jak u bliźniaczek jednojajowych, ale dokładnie takie same: do ostatniego włosa na głowie i pieprzyka na lśniące od potu skórze. Najwyższej jakości drukowane kopie wymarzonej seksbomby. Dla tych krągłości można by stracić głowę, gdyby nie fakt, że miało się do czynienia z niezwykle drogimi, ale wciąż lalkami.

Syntetki były doskonałe w każdym szczególe, niezmiernie ponętne i namiętne, ale... niezmiernie bezduszne. Ich widok nie powinien nikogo dziwić, zwłaszcza w takim miejscu, niemniej trzy identyczne modele w tym samym burdelu, i to nie pracujące w tak gorącym okresie, gdy ludzie na dole zabijali się, stojąc w kolejce do dostępnych dziwek? O Arseniewie wiele można powiedzieć, ale jeśli chodzi o pieniądze, Szkoci byli przy nim skończonymi utracjuszami. Poza tym właściciele domów publicznych płacili krocie, by każda kupowana przez nich syntetka była jedyna w swoim rodzaju.

– Po co mnie tu ściągnąłeś? – Tymura zatrzymał się na środku pomieszczenia, kilka kroków od ustawionych do niego tyłem seksomatów.

– Wiem, o czym myślisz – zaśmiał się gangster, unikając odpowiedzi.

W niczym nie przypominał krępego specy od materiałów wybuchowych, z którym Rafał przesłużył dwie tury na Antarktydzie. Utył drań od ostatniego spotkania, jak poprzednio. A mówią, że kradzione nie tuczy...

– Naprawdę?

– Zastanawiasz się, po jaką cholere mi trzy egzemplarze tego samego jebadełka.

Choć minęło tyle lat, w jego głosie nadal dało się wyczuć obcy akcent. Był imikiem z lwowskiego dystryktu, a wyłądował w Polsce jako dziecko tuż przed tym, zanim jego terytorium zależne zostało wchłonięte do reszty przez Gazpromex.

– A nad czym tu się głowić? – prychnął Tymura. – Po takim kredytobranu jutro otworzysz trzy nowe burdele. Gratuluję.

– Niezupełnie – zarechotał Wiktor, nie odrywając wzroku od klawiatury programera.

– Mniejsza o nie. Gadaj, o co chodzi, i miejmy to za sobą.

– Chwila... – mruknął Arseniew, wprowadzając do sterownika kilka krótkich poleceń za pomocą wirtualnej klawiatury. Gdy skończył, syntetki odwróciły się jednocześnie, ale nie tak, jak można by się tego spodziewać. Każda poruszała się inaczej, choć równie zmysłowo. – To będzie rewolucja, zobaczysz – dodał, szczerząc białe zęby.

Seksoboty przemaszerowały obok Tymury, zaczepiając go i nagabując, jak nakazywało im oprogramowanie, ale w dalszym ciągu na trzy odmienne sposoby.

– Wymieniłeś im moduły tożsamości?! – Zaskoczony Rafał z niedowierzaniem przyglądał się mijającym go syntetkom.

– A jak.

– Po cholere?

– Są faceci, których kręci seks z bliźniaczkami jednojajowymi, a tu mamy, tadam, całe trio...

– Pierwszy raport o błędach, który pójdzie do producenta, i będzie po zabawie – wpadł mu w słowo Tymura. – Każdy śmieć, którego sobie kupiłeś, prędzej wsadzi łeb do własnej dupy, niż postawi się prawnikom Oty.

– Bez obaw. – Wiktor przyglądał się z lubością idącym w głąb gabinetu seksobotom. – To zamówienie prywatne. Ten, kto będzie się nimi zabawiał, umie zadbać o siebie, ale dzięki za troskę.

– Nie ma za co – burknął Rafał.

Sam też odprowadził wzrokiem syntetki, które kręcąc po nętnie tyłkami, znikają kolejno we wnętrzach opływowych modułów transportowych. Gdy ostatnia przeszła w tryb czuwania, Wiktor wytoczył się zza biurka, wyciągając przed siebie spoconą dłoń.

– Cieszę się, że tym razem nie odmówiłeś...

– A miałem wybór? – Rafał uścisnął jego prawicę, teraz dziwnie miękką i delikatną, nie dał się jednak poprowadzić do stolika. – Załatwmy to szybko. Jest już późno, a mam jeszcze sporo do zrobienia – zmienił ton.

– Wielkie otwarcie szkoły na wyższe poziomy. Wiem, wiem... – Arseniew pokiwał głową, ustawiając na blacie zapieczętowaną flaszkę whisky. Prawdziwy single malt, z czasów, gdy alkohol pędzono wyłącznie ze składników organicznych. Sądząc po kształcie butelki, co najmniej pięćdziesięcioletni. – Z tej właśnie okazji cię zaprosiłem.

Rafał poczuł dziwne mrowienie na karku. Wiktor miał u niego dług wdzięczności, tak przynajmniej twierdził przy każdej okazji, ale trudno było uwierzyć, by tak wyrachowany człowiek, który kalkuluje swoje posunięcia z zegarmistrzowską precyzją i znany jest w środowisku z przysłowiowego sknerstwa, nagle został dobrym wujkiem.

– Jeśli myślisz o wkręceniu się... – zaczął ostro.

– Nie! – uciął gangster, wchodząc mu w słowo. – Siadaj, proszę, i pozwól mi wyjaśnić.

Tymura przemógł się z widocznym trudem i zajął miejsce naprzeciw dawnego podwładnego.

– Tylko się streszczaj.

– Nigdy nie zapomnę, że uratowałeś mi życie – zaczął Wiktor, sprawnie zabierając się do odpieczętowania butelki. Moment później, trzymając między palcami ołowianą otulinę korka, powstrzymał rozmówcę od zabrania głosu. – Wiem, co na ten temat myślisz, ale ja pozostanę przy swoim zdaniu. Mam u ciebie dług honorowy, koniec kropka. – Otworzył butelkę dopiero wtedy, gdy Rafał potaknął. Powąchał trunek, przymykając z lubością oczy, po czym nalał go do dwu kryształowych szklanek. – Tylko dlatego uchodzą ci zachowania, za które ktoś inny dawno skończyłby w atomizerze albo zgnił w kanałach subzerowych.

– Wystarczy, że zostawisz mnie w spokoju, i będzie po problemie – przypomniał mu Rafał.

– Niby racja, ale sam wiesz. Naprawdę przydałby mi się ktoś z twoimi zdolnościami... – Wiktor przesunął jedną ze szklanek na przeciwległy kraniec blatu. – Marnujesz się, chłopie. Mógłbyś być moją prawą ręką. Miałbyś świat u stóp.

– Ten rynsztok nazywasz światem? – zakpił Tymura, zerkając w stronę ściany niewidzialnych dla niego ekranów. – Nie, kolego, nigdy nie będę taki jak ty. I wyobraź sobie, że nie narzekam. Może nie stać mnie jeszcze na podobne zbytki – wskazał butelkę – ale mam prawdziwy dom, rodzinę... Dobrze wiesz, po co jechałem do Warszawy.

– Trochę to trwało, ale w końcu dostałeś zezwolenie na rekrutowanie plusytów. – Wiktor uniósł szklankę, znów przymknął oczy, rozkoszując się wonią bursztynowego

trunku. – I za to chcę wypić. Za twój sukces. Za licznych klientów z poziomów dosetnych.

Tymura spojrział na niego podejrzliwie, ale dawny towarzysz broni nie wyglądał na kogoś, kto z niego szydzi. Wręcz przeciwnie, minę miał bardzo poważną, gdy pociągał pierwszy drobny łyżeczek alkoholu wartego mniej więcej tyle, ile roczne dochody jego gościa.

– Czy to znaczy, że nie wyskoczysz zaraz z propozycją partnerstwa, ochrony i cholera wie czego jeszcze?

– Nie wyskoczę. Daję słowo.

– Dlaczego ci nie wierzę?

– Czy ja cię kiedykolwiek okłamałem? – zapytał Wiktor, odrywając wzrok od szklanki.

Pochylił się mocniej, wbił spojrzenie w twarz Rafała. Nie było w nim jednak wrogości, tylko jakaś niespodziewana... troska?

– Nie mam pojęcia, ale...

– Bardzo bym chciał mieć pod sobą kogoś takiego jak ty – stwierdził gangster po chwili namysłu. – Nie oszukujmy się, masz to w genach...

– Co?

– Walkę. Zabijanie.

– Owszem, i dlatego uczę innych, jak się bronić przed ludźmi pokroju twoich braci.

Arseniew opadł na oparcie fotela, szczerząc równiutkie, białe jak śnieg i równie sztuczne jak sam uśmiech zęby.

– Przed chwilą powiedziałeś, że nie jesteś taki jak ja.

– Bo to prawda.

– Powiedz mi zatem, czym różniło się twoje zachowanie na froncie od tego, co dzisiaj robią moi chłopcy?

– Wszystkim – odparł bez zastanowienia Tymura.

– Zabijaliśmy, ponieważ kazano nam to robić – kontynuował tymczasem jego dawny podkomendny. – Myślisz, że

ci dranie po przeciwnej stronie lufy, nie licząc oczywiście posranych sicarios, byli jakimiś diabłami wcielonymi? Nie, bracie, nawalaliśmy do takich samych frajerów jak my. Zaciągnęli się, ponieważ klepali biedę, a korporacje obiecywały sporą kasę. Gdybyś urodził się na dolnych poziomach któregoś z dystryktów podlegających innej korporacji, pewnie strzelałbyś na Antarktydzie do mnie, a ja do ciebie. – Rafał spuścił głowę, w tych słowach kryło się wiele bolesnej prawdy, którą latami starał się wyprzeć z głowy, jak dotąd bezskutecznie. – Podsumowując: przez kilka lat zabijaliśmy ludzi za pieniądze. To jedyny niezaprzeczalny fakt. Nie powiesz mi chyba, że kiedykolwiek wierzyłeś w moralną wyższość racji EuroComu.

– Nie powiem – wyduśił z siebie ponury jak noc Tymura.

– Różnica polega więc na tym, że teraz zabijam na własne konto, oczywiście jeśli zajdzie taka potrzeba. Koniec kropka.

– Ja nie mówię o zabijaniu. – Rafał wskazał znajdującą się dwa metry dalej sieć prowadnic, na której rozpięto ramy wirtualnych ekranów, z jego punktu widzenia matowych, ale dla właściciela tego miejsca niewątpliwie pełnych przekazu. – Prostyucja, narkotyki... to wszystko jest raczej dalekie od naszego dawnego fachu.

– Naprawdę? – Wiktor zaśmiał się rubasznie.

– Naprawdę. To, że przemycaliśmy prochy do koszar i opylaliśmy je kotom, to zupełnie inna sprawa. Odwiedzanie burdela na każdej przepustce również.

– Powiedz jeszcze, że to ci się nie podobało.

– Nie jestem już tym, kim byłem kiedyś – przypomniał mu Tymura.

– Wiem i dlatego, mój jedyny przyjacielu, chcę wypić za twój sukces. Tutaj i teraz. Nie uwierzysz, ale od samego początku kibicowałem temu przedsięwzięciu. Twojej szkole, znaczy. Zasługujesz na coś więcej. Na dużo więcej, niż do

tej pory osiągnąłeś. – Dolał sobie oraz po minimalnym wahaniu gościowi. – Zatem twoje zdrowie, sierżancie! – Unosząc szklankę, uśmiechnął się ciepło, szczerze.

Rafał się zawahał, ale po sekundzie także sięgnął po szkło. Stuknęli się, potem przełknęli jednocześnie bursztynowy trunek, oczywiście do dna. Whisky była może ciut za ciepła, ale mocna, słodkawa, od razu czuło się moc, jakiej nabyła przez dekady leżakowania w beczkach. Właśnie dlatego Rafał zlekceważył pierwszy zawrót głowy, lecz kolejny, który nastąpił tuż potem, był znacznie silniejszy. Świat zawirował mu przed oczami, nogi odmówiły posłuszeństwa, a gdy spróbował wstać...

– Coś ty... – zdołał wymamrotać, zanim szalejący w jego głowie wir świadomości został wchłonięty przez rozrastającą się w zastraszającym tempie czerń.

ŚMIERĆ. ZEMSTA. PRZEZNACZENIE

Ziemia, rok 2077. Globalne ocieplenie i zatrucie środowiska doprowadziły do szeregu katastrof naturalnych, życie jest możliwe tylko tam, gdzie wkra-
cza technologia.

Zdecydowana większość tych, którzy przetrwali, zamieszkuje gigantyczne metropolie, gdzie wszystko jest wytwarzane i kontrolowane przez rządzące w danym regionie korporacje, które przejęły rolę państw. Współpracują one z gangami, które są równie okrutne i bezwzględne jak oficjalni rządzący.

Zmieniła się także globalna rozrywka; teraz na ekranach holo królują krwawe zmagania współczesnych gladiatorów. Najtwardsi z najlepszych mierzą się na gigantycznych stadionach-szachownicach w rozgrywce, która jest połączeniem szachów i sportów walki.

W tej rzeczywistości żyje Rafał Tymura, Polak o japońskich korzeniach, były żołnierz sił specjalnych, pracujący jako ochroniarz podrzędnego polityka. Gdy ludzie jednego z lokalnych oligarchów mordują jego żonę, Tymura rusza mroczną ścieżką zemsty.

Nowa tożsamość, cyborgizacja, zejście do przestępczego półświatka Tokyoramy to środki, które mają zaprowadzić go do celu. Jednak to arena okaże się miejscem, gdzie będzie mógł dokonać zemsty i dowiedzieć się, kto tak naprawdę stoi za morderstwem jego żony.

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny na
woblink.com


ISBN 978-83-240-7797-7



9 788324 077977 >

 lubimyczytać.pl



 Polygamia.pl

Cena 39,99 zł